ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 1. Lutego 1892. **Nr. 3.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Bouthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

II.

Młody Jaksa pojechał, jak powiedział i jak słuszną rzeczą było, do matki, aby jej się opowiedziawszy, następnie polecenie pana Petrka spełnić a na dwór książęcy do Krakowa się udać. Matka, niewiasta prawie męskiego a rycerskiego ducha, którą sobie Jaksów ojciec jako pogankę z daleka przywiózł i ochrzcić kazał, natęskniwszy się za synem, przytuliła go do serca i kazała mu się spowiadać, gdzie bywał, co widział.

Jaksa prawił o wszystkiem szeroko, a jako nigdy przed matką niczego nie ukrywał, tak też opowiedział o Błogosławie, córce Petrkowej i tak się o niej rozciągał szeroko z pochwałami, iż matka poznała łatwo, że mu dziewczę się upodobać musiało.

— Dziewka piękna być może — odezwała się — ale ona nie dla ciebie, ty nie dla niej. Nie dla tego, abyś jej wart nie był, bo Jaksowie też od innych kniaziów nie gorsi, ani żeby bogatsi byli, albo mocniejsi od nas, ale nie takiej tobie żony, a mnie synowej trzeba. Niech będzie piękna, jak chce, co mi po niej? Królować zechce i przewodzić u nas, a jam się na niczyją sługę nie rodziła, ani ty masz być nim kiedy. Pamiętaj i o tem, że pieniądz i skarby zdradą kupione nie szczęszcą się. Czem Petrek tak wielki stał się? Nie wiesz, to posłuchaj!

Dawne to dzieje, za króla Krzywousta się działo.

Petrek u króla był i z królem na spół wojował. Gdzie trzeba było piorunem bić, ptakiem lecieć, wężem podłazić, nikogo słano, ino Petrka. On wszystko umiał, a co król rzekł, zrobił, jak przykazano.

Bratał się król wówczas z ruskim kniaziem, Wołodarem; zbratał tak, aż się poswarzyli. Kto lepszy. Wołodar począł trąbić, a na nas swoją dzicz prowadzić palić lasy i sioła i jeńców brać a gnać. Zdradził pana naszego; król rozsierdził się srodze. Złapać go, wiatru w polu nie było można. Dałbym, — rzekł — coby ze mnie żywno kto chciał, bylem

zdrajcę w rękach miał. Petrek słuchał i śmiał się.

— Co mi dasz królu, panie — zapytał — związanego ci na twój dwór dostawię?

Nie wierzył król. — Dam ci jego samego — rzekł powstawszy — weźmiesz okup, jaki zechcesz, ja sobie nie chcę jednej grzywny, tylko bym go w rękach miał.

A było tak, że Petrek na Rusi nie jeden już raz gościł, gdy król się jeszcze z kniaziem Wołodarem bratał i za posła był używany i Wołodarowi do chrztu dziecko niósł, a kumem się mu zwał.

A kto królowi panu krzyw i zdrajca, komu kumem taki być może?

— Wołodarowych wojów tysiące było, a pan Petrek się nań wybrał w sześćdziesiąt koni. — Król patrząc rzekł: — Żal mi cię, na zgubę jedziesz. — No to zginę dla Miłości Waszej — odparł Petrek — i jechał. Jechał wprost na zamek kniazia, a nie w kopę koni, bo ludzi w lesie zostawił, jak mu potrzeba było, tylko samotrzeć — i przybywszy na zamek, bił czołem Wołodarowi. — Król mój pan, pozdrawia was, kniaziu Wołodarze — mówił — chociażeście wy mu wrogiem, pragnie pokoju z wami, śle mnie do was, abyście mnie po staremu uczynili.

Kniaź Wołodar słuchał i zdumiewał się, ale że kuma w nim znał, odparł:

— Szczęście masz, żeś mi dziecko do chrztu trzymał, nie godzi mi cię imać i karać, a kazałbym cię na wiek do ciemnicy wrzucić, abyś w niej gnił. Jam wojny nie poczynał, król twój najeżdżał ziemię moją, chcąc mnie zawojować. Nie dam mu się, jakom żyw; Ruś nań caluchną ściągnę i Połowców i Jaćwę i co gdzie jest wszelakiego wroga z najdalszego krańca.

Na to mu zsiadłszy z konia i do nóg się pokłoniwszy, rzekł Petrek:

— Ziemiami się podzielicie i w zgodzie żyć będziecie, jak na panów chrześciańskich przystało. Proszę was o to tylko, abyście mi łaskawego nie skąpili ucha.

Więc udobruchał się nieco Wołodar i szli razem na zamek, a kazał mu tylko milczeć, aby o królu Krzywogębie mówić więcej nie śmiał, to mu już dobrym będzie.

Siedli tedy za stół i pili razem i jedli, gadali o łowach i o ruskich sprawach i o stratach, ale o królu Krzywogębie ni słowa. A gdy zapili się tak późno w noc, rzekł mu Wołodar: Idź i legnij spać, bo kury pieją, a miód w mózgu kręci.

Drugiego dnia zwołał swoich posadników, bojarów, drużynę, kniaź Wołodar i znów posadził kuma za stół i poił go. Mówili o wszystkiem, a gdy Petrek króla wspominał tylko, Wołodar pięścią w stół uderzył aż stolnica pękła i rzekł: — o nim nie mówcie. Znać go nie chcę, Krzywomordy tego.

Gdy już drugiego dnia szli spać, rzekł Petrek: — Do domu powrócę ze sromem, bo z niczem. — Gdy głowę całą przywieziesz na karku, ona taki coś warta.

Dnia trzeciego pili znowu sam na sam do wieczora. A była przy Wołodarowej żonie plemienna jej, Światopełkówna Marya, piękna dziewka, którą Petrek napatrzył, gdy im miód nalewała. I rzekł do kniazia Wołodara:

— Na świecie nad nią piękniejszej nie było i nie będzie.

Na co Wołodar mu odpowiedział śmiejąc się a pocmukując:

— Bo niema nigdzie niewiast jak na Rusi i w Kijowie, a to kniaźna jest i wiedźma kijowska. I nie weźmie jej chyba król a mocarz, albo taki pan co carskiej krwi godzien będzie, bo w niej Cezarów krew płynie.

A Petrek głową potwierdzał, i pili do nocy już późnej z sobą. Gadać o królu i tego dnia nie dał mu Wołodar, bo się zaraz do noża brał. Żegnał go Petrek.

— Jadę jutro rano.

— Ja też jutro na łowy, — odp Wołodar, — jedź zemną razem; gdy się łowy skończą, wracaj sobie do domu, do tego co cię posłał i powiedz mu, że jego ziemię na kopytach rozniosę, spalę

i zniszczę, bom mu wrogiem, a druhem nie chcę być i nie będę.

Nazajutrz dnia jechali na łowy razem. Puścili się za łosiem. Petrek wiedział gdzie konie swe i ludzi w lesie zostawił i pokierował tak, aby Wołodar z nim na zasadzkę wjechał. Zmówione to było, bo gdy razem pili, sam Petrek na łowy wyzywał, choć się kniaziowi zdało, iż on ich zażądał. Trąbką ludziom zasadzonym dał znać, aż gdy w gąszcze wjechali, oskoczyli ich zewsząd Petrkowi. Chciał się Wołodar bronić, ale mu wnet pęta na ręce rzucili i na nogi, oręż odjęli i przywiązanego do konia gnali z sobą nie ustając, choć pienił i krwią buchał.

A Petrek mówił mu:

— Wrogiem się czyniłeś pana mojego, bądźże jego niewolnikiem. Co on z tobą postanowi, to będzie.

Tak gnając z nim dzień i noc przez lasy uwiózł go precz, a ludzie Wołodarowi po kniejach trąbili, szukając go naróżno, myśleli że niedźwiedź rozszarpał, albo dzikie bestje nocą pożarły. Wprost wiózł więźnia na zamek do króla Petrek, a gdy go król zobaczył, oczom wierzyć nie chciał wołając:

— Czarownik jesteś.

— Jam sługa twój — odparł Petrek. — Słowam dotrzymał; trzymajże ty swoje królu a panie, bo mi się to należy, szyjem stawił.

A tak się stało, że Petrek okup ogromny wziął i wszystkie skarby Wołodarowe za żywot jego; król zaś z jeńca nie wziął więcej nic jeno przysięgę na krzyż i księgę, że z nim wojować nie będzie. Petrko zaś dodał — skarbów mi mało, skoro Maryi Światopełkównej mieć nie będę, tę mi musisz dać albo ci życie wezmę. I zbogacił się pan Petrek skarbami i żonę dostał jaką chciał, a król go swoim Wojewodą wielkim uczynił i gdy umierał, dał mu nad synami opiekę. — Oto jak rósł i urósł pan Petrek.

— Dla tego — tak dodała — nie myśl o tej dziewce!

Jaksa się smutnie uśmiechnął.

— Myśleć o niej po dobrej woli nie będę, a mimowoli muszą, bo mi się upodobała.

Zapomniećby lepiej — dodała matka Wiana ci nie trzeba, złota nie łakniemy, mocy też mamy w sobie dość, ino, by poczciwa krew a serce dobre.

Na tych słowach ustała rozmowa o Bogosławie, a wszczęła się o jeździe Jaksy do Krakowa. Jaksowa posłała sługę po księdza proboszcza Marcina, bo to był przyjaciel i doradzca nieboszczyka męża jeszcze.

Ksiądz wnet przyszedł i zaczęli radzić.

— Jam stary — mówił ksiądz, — już tam dobrze nie widzę w takich sprawach, ale gdy ksiądz biskup, stryj radzi, to jechać! Przecieby na zgubę nie wiódł.

— Ja też tak sądzę — odezwał się Jaksa.

— Mnie się zda — odparła matka, — że ks. Janik też może w tych rzeczach bystrego wzroku nie ma, choć wiem, że bardzo poczciwy.

— Co też to mówicie — odrzekł ksiądz Marcin. To bystrego rozumu Pasterz.

— Matusiu — rzekł Jaksa widząc matkę smutną. — Niebójcież się wy o mnie. Kraków nie za górami. Pojadę, popatrzę, służba nie wiekuista, ani niewola.

— Źle będzie, nie po myśli, precz się usunę. Niech ks. Janik nie mówi, żem łaską jego pogardził, żem radę odrzucił, niech się pan Petrek na mnie nie gniewa.

— Od Petrka zdala! zdala! — mruknęła matka.

— Bogobojny to pan jest — odezwał się głową kłaniając ksiądz. — Daj nam Boże takich jak najwięcej.

— Wam, ale nie nam — prawiła Jaksowa sierdzisto. — Ja go za grzech, jego zdradę, nie cierpię.

— Bóg grzechy sądzi i cnoty waży! a kto bez grzechu! — odparł ks. Marcin. — Nie rzucajcie kamieniem.

— Ja go ani sądzić nie chcę, ni widzieć, ni słyszeć o nim! — zakończyła Hanna zwracając się ku synowi, który z rumieńcem na twarzy, pozostał milczący.

Ostatecznie tedy uradzili, aby Jaksa jechał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KS. DR. FLORYAN STABLEWSKI,

ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKO-POZNAŃSKI.

Od wielu lat nazwisko ks. dr. Stablewskiego znane jest wszędzie, a u ludu polskiego z miłością i wdzięcznością wspominane. Wszakżeż to długoletni zastępca ludu polskiego w sejmie pruskim, jeden z najwybitniejszych, najdzielniejszych, najwymowniejszych obrońców wiary św. i narodowości ludu polskiego! Nie było roku, w którymby nie zabrzmiał był wymowny głos ks. dr. Stablewskiego w sejmie, domagający się od rządu sprawiedliwości dla katolicko-polskiego ludu. Ponieważ zaś wytrwały był w swem staraniu się o prawa swego ludu, przeto doczekał się, iż porówno z innymi szlachetnymi mężami pomiędzy »wrogów« cesarstwa niemieckiego przez byłego kanclerza, Bismarcka policzony został. Tytuł ten miał być hańbiącym, a stał się zaszczytnym, bo wszyscy, których Bismarck »wrogami« państwa mianował, nie byli w istocie wrogami państwa, lecz wrogami niesprawiedliwej polityki Bismarcka, godzącej w wiarę katolicką i narodowość wszelką, co niemiecką nie była. Owi mężowie nie chcieli odstąpić niewzruszonych zasad sprawiedliwości, nie chcieli się stać sługami bezwzględnymi Bismarcka, więc dla tego ich tenże »wrogami« państwa nazwał i prześladował, ile w siłach jego było.

Powoli też zaczęło się pokazywać, że nie wszyscy Niemcy, a przedewszystkiem obecny Monarcha, godzą się na taki podział poddanych pruskich, między wrogów i przyjaciół państwa. Cesarz Wilhelm II oddalił Bismarcka z kanclerstwa. Gdy zaś dwaj przywódzcy katolickiego centrum, Frankenstein i Windthorst zmarli, sam cesarz uczcił tych Bismarckowych »wrogów« państwa w niezwykły sposób, każąc na ich trumnach złożyć od siebie wspaniałe wieńce.

Więcej zaś jeszcze pokazało się, że obecny rząd nie sądzi poddanych pruskich podług widzimisię Bismarcka przez to, iż zgodził się na zamianowanie ks. dr. Stablewskiego, podług Bismarcka »wroga« państwa, a podług zdania naszego bardzo dzielnego i szlachetnego obrońcę wiary św. i narodowości polskiej, arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim.

Wiadomo, że po zrzeczeniu się czyli rezygnacyi z arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego przez Jego Eminencyą, ks. kard. Ledochowskiego, rząd pruski nie chciał w żaden sposób przystać na to, aby arcybiskupem został Polak i że Ojciec św., ze względu na bardzo trudne położenie, wyjątkowo zgodził się, iż arcybiskupem prawie całkiem polskich dyecezyi został Niemiec, śp. ks. Juliusz Dinder. Po śmierci tegoż pragnął rząd, ażeby następcą jego był znowu Niemiec, ale Ojciec św. nie przystał na to. Po długich naradach zgodził się Ojciec św. i rząd pruski, iż najgodniejszym godności arcybiskupiej jest ks. dr. Stablewski, proboszcz z Wrześni, a długoletni poseł polski do sejmu pruskiego.

Lud katolicki w Poznańskiem bardzo się uradował z tego postanowienia a i Polacy w innych okolicach powitali je z zadowoleniem, bo zamianowanie tak wybitnego i szczerego Polaka, tak nieustraszonego obrońcy praw ludu polskiego, wskazywało, iż rząd pruski inną wobec Polaków politykę nadal prowadzić zamierza.

Zbyteczną jest rzeczą pisać w »Świetle« o wielkiej wspaniałości, z jaką cesarz Wilhelm II od nowego arcybiskupa przysięgę odbierał; z jaką wspaniałością odbyła się konsekracya w Gnieźnie i wjazd do Poznania, bo wszystkie polskie gazety szeroko o tem pisały i dla tego szczegóły są wszystkim znane.

Podajemy tylko krótki życiorys Najprz. ks. Arcybiskupa. Urodził się w roku 1841. Do szkół uczęszczał w Trzemesznie. Po ukończeniu tychże,

wstąpił do seminaryum duchownego w Poznaniu, a ukończył nauki teologiczne w Monachium, gdzie uzyskał stopień doktora teologii. W roku 1866 został wyświęcony na kapłana. Dłuższy czas był wikaryuszem w Śremie a zarazem nauczycielem religii i języka hebrajskiego w tamtejszem gimnazyum. Od roku 1873 był proboszczem we Wrześni. Od tego też prawie czasu był posłem na sejm pruski. Ojciec św. zamianował go w uznaniu jego zasług szambelanem swoim, a przed rokiem protonotaryuszem apostolskim.

Z listu pasterskiego zaś, jaki Najprz. Ks. Arcybiskup wydał do wiernych, podajemy następujący wyjątek:

»Żyjemy w kraju niejednolitym pod względem wyznania religijnego. Innych przekonań, innej wiary ludzie mają z nami stósunki ciągłe.

Obowiązek miłości bliźniego wymaga od nas, abyśmy ich religijnych uczuć nie drażnili, przekonań drugich, chociaż



KS. ARCYBISKUP STABLEWSKI.

ich nie podzielamy, nigdy nie obrażali, w zgodzie, bez rozterki starali się żyć z nimi. Obowiązek zaś »miłości duszy naszej« wymaga, abyśmy wiary naszej strzegli jako najdroższego, nam od Boga powierzonego skarbu, interesów wiary naszej wszędzie stanowczo bronili, abyśmy się dopominali sposobności wypełniania jej obowiązków, nigdy się jej nie zapierali słowem lub uczynkiem, a życiem przykładnem i modlitwą gorącą dziękowali Bogu za łaskę powołania do Kościoła naszego świętego, za łatwość zbawienia w nim naszego.

Nie małą trudność stanowi dla pasterskiej Naszej pracy w pośród owieczek naszych, »różnica ich narodowości.« Gdy atoli sobie przypomnimy, że Chrystus Pan wszystkich ludzi ukochał, nie jeden wyłącznie naród, że On jest osią całej ludzkości; gdy za Jego przykładem utwierdzimy się w tej miłości, która nie zna ani »wolnych, ani niewolników, ani Scytów, ani Greków, ale ludzi w Jezusie Chrystusie Panu naszym«, (Coloss III, 11; Rom. X, 12), w Bogu ukochanych i dla Boga, wtedy się serce nasze rozszerzy, nikogo wykluczać nie będzie, święte i drogie uczucia miłości do swojej narodowości oczyści z nienawiści jako pogańskiej naleciałości. Tylko przez wspólną dla Jezusa miłość łatwo będzie przezwyciężyć trudności obustronne, z tego położenia wynikające. »Gdy Jezus Chrystus nas tak umiłował, jedni drugich winniśmy miłować.« (I. Joan. IV, 11). Ułatwią też pasterski Nasz obowiązek prowadzenia wszystkich dusz do Jezusa ci wszyscy ukochani rodacy Nasi, którzy nie będą zapominali, że nie ich tylko duchowe interesa mieć muszę na oku i w sercu, że nie dla jednej wyłącznie narodowości jestem pasterzem i gdy w roztropności chrześcijańskiej strzedz się będą powodów i pozorów, aby sprawiedliwemu przywiązaniu Naszemu do świętej ojców spuścizny, do ukochanej mowy naszej ojczystej, do drogich a świetnych wspomnień naszych dziejowych nie można podsuwać intencyi i zamiarów wręcz przeciwnych obowiązkom, jakie wiara nasza względem władzy świeckiej i państwa, do którego należymy, nam nakłada.«

Wreszcie dołączamy jeszcze życzenie, aby Bóg Najprz. Ks. Arcybiskupa wspierać raczył w trudnym urzędzie arcypasterskim. Ad multos annos!

OJCZYSTY ZAGON.

Boże mój drogi, tak wiele ludzi
W obce gdzieś jadą krainy,
Jakiś nieznany świat serce łudzi...
Kraj swój rzucają jedyny.

Mnie zaś najmilsze ojczyste niwy,
Po których nieraz biegałem,
Tu jako dziecię byłem szczęśliwy,
Wesołe piosnki śpiewałem.

Te same skiby, tę samą rolę
Uprawiał ojciec kochany,
I ja dziś boską wypełniam wolę,
Orzę, zasiewam te łany.

Ojczysty zagon to szczęście moje,
On mnie i dzieciom da chleba,
Choć na nim praca, trudy i znoje,
Lecz gdzież pracować nie trzeba?

Choć praca ciężka, lecz spokój rodzi,
Spokój sił, zdrowia dodaje,
Ojczysty zagon życie mi słodzi,
Nie zwabią obce mnie kraje!

Franciszek Marzec.

RÓŻANIEC OCALENIEM OD ŚMIERCI.

OBRAZEK Z ALP.

Marieta miała lat dwadzieścia, brat jej był o dziesięć lat młodszy. To też, gdy rodzice ich udali się przed jesienią w góry alpejskie, aby paść tamże trzody owiec przez zimę, pozostawili Mariecie pod opieką brata i chatę.

Matka odchodząc rzekła do niej:

— Czuwaj dobrze nad bratem! Bądź dbałą o wszystko a w Niedzielę, gdy dzwonek z wieży kościoła się odezwie, śpiesz się, abyś pierwszą była w kościele. Brata zabierz zawsze ze sobą i ucz go się modlić.

Zanim śnieg okryje wierzchołki gór, w pierwszych dniach jesieni, wskaż mu drogę, którą pasterze chodzą. Poprowadź go sama i pokaż mu drogę do chaty, gdzie my w smutnych dniach zimy mieszkamy, ażeby od czasu do czasu mógł nam przynieść wiadomość, co się u was, w dolinie, dzieje.

Marieta ucałowała ręce matki i ojca i ze łzami w oczach odpowiedziała:

— Bądźcie zdrowi, kochani rodzice i pobłogosławcie nam, aby nas pod waszą nieobecność nieszczęście nie spotkało.

Ręce rodziców spoczęły z błogosławieństwem na głowach dzieci, klęczących wśród płaczu przed niemi. Potem rodzice udali się w góry.

* *
*

Tydzień odpłynął od tego czasu. Pewnego dnia rano Marieta nie przyszła obudzić brata, jak to zwykle czyniła. Z jakiej przyczyny nie przyszła?

Dzień przecie już był na świecie, słońce już weszło dość wysoko na niebo.

— Marieta! Marieta! — zawołał chłopiec, ocknąwszy się rano i nie ujrzawszy siostry w izbie.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, wstał coprędzej, ubrał się i począł szukać siostry w chacie, na podwórku, nawet w stajence kozy, która ujrzawszy go zabeczała żałośnie; snać nie dostała jeszcze dzisiaj pożywienia. Chłopiec szukając wołał a wołał: »Marieta!« Ale nikt nie odpowiada; dokoła głucha cisza.

Wtedy ogarnął go strach. Wraca do chaty, jeszcze raz przebiega izby i komórki, wchodzi na górę, — wszystko napróżno; Mariety nie ma a nadto widzi, że łóżko w jej izdebce nie ruszone, a więc jej już przez noc całą w domu nie było.

Jakże mogła tajemnie się od niego oddalić? Jakże mogła biednego Józefka opuścić, którego tak kocha i któremu nieraz powtarzała: »Ty jesteś teraz moim synkiem, nie moim bratem, bo ja ci zastępuję matkę.«

Usiadł chłopiec i myśli a płacze. Wreszcie powstał szybko, poszedł do izby, gdzie zwykle ze siostrą przebywali, padł na kolana przed krzyżem i głośno woła:

— Boże miłościwy! Racz mi powrócić moję siostrę! Racz mi powrócić moją młodą mateczkę!

Długą chwilę przebył biedny chłopczyna na modlitwie; potem wybiega przed chatę i patrzy ku górom. Jakże często mawiała siostra do niego: »Patrz! Za temi skalistemi górami przebywają rodzice nasi. Pewnego dnia pójdziesz do nich, aby im zanieść nowiny o nas.«

Dokądże miałby się udać chłopiec opuszczony, jak Józef, jeżeli nie w tę stronę, gdzie rodzice jego przebywają? Nie namyślając się przeto, ruszył Józef ścieżką, po której, jak widział, pasterze chadzali; biegł.

Gdy już doszedł dość wysoko w góry, stanął i obejrzał się na chatkę w dolinie, czy nie ujrzy może siostry w drzwiach, albo dymu, unoszącego się z komina na znak, że siostra powróciła. Niestety! Nie widzi niczego. Spogląda drugi raz, trzeci, dziesiąty, wytęża oczy... napróżno!

Sam stoi teraz wśród olbrzymich skał wiszących nad nim, a przerażających go swym ogromem. Z każdego załomu skał zda mu się, że wygląda jakaś

twarz wroga, chłopiec drży ze strachu i wzruszenia. Ale mimo to wdziera się wyżej na góry, idąc ścieżką, wydeptaną przez pasterzy.

W Alpach, położonych w katolickich prowincyach Szwajcaryi, stoją tu i ówdzie, nad ścieżkami, krzyże, Bożemęki, a nawet małe kapliczki, w których od czasu do czasu nabożeństwo się odprawia dla pasterzy w górach trzody pasących.

Przy ścieżce, którą Józef szedł, natrafił czternaście krzyżów. Postawiono je tam w tym celu, ażeby pasterzom i podróżnym Boga przypominały, a nadto aby podróżni mogli, wchodząc z trudnością pod górę i modląc się, dostąpić odpustu, przywiązanego do odprawiania drogi krzyżowej. Pobożny ten zwyczaj utrzymał się dotąd między górską ludnością katolicką i pięknie, że się utrzymał.

Gdy Józef ujrzał te krzyże, uspokoił się nieco, bo przypomniały mu się słowa siostry, która mu tak powiadała:

»W środku drogi, którą pójdziesz, aby dojść do naszych rodziców, stoją wielkie drewniane krzyże, postawione przed kilku laty przez naszego księdza proboszcza. Gdy obok tych krzyżów przechodzić będziesz, powinieneś uklęknąć tuż przy ścieżce. Potem zmów krótką modlitewkę do Pana Jezusa na krzyżu, której cię nauczyłam, a gdy wzruszony gorzką męką, jaką Jezus za nas cierpiał, zapłaczesz, to twoje łzy połączą się ze łzami, które ja tam wylałam tyle razy, ile razy tamtędy szłam.

Te słowa mając na pamięci, ukląkł chłopiec i złożywszy nabożnie ręce, począł prosić z głębokości serca swego za siostrę. »Panie Boże« błagał »racz mi powiedzieć, gdzie moja siostra, która tu na tem miejscu tak często się modliła? Gdzie Marieta?«

Po kolanach posuwał się od krzyża do krzyża. Trzeci krzyż stał na miejscu najniebezpieczniejszem, bo z obu stron były bezdenne przepaści.



NA GROBLACH W KRAKOWIE. (Zobacz objaśnienia rycin na str. 48.)

Wtem zdawało mu się, że słyszy, jakby z pod ziemi, głos jakiś, jakieś wołanie. Nadstawia ucha lepiej i słyszy przygłuszony głos, ale zkąd on pochodzi? Chciałby chętnie zajrzeć do przepaści, ale się obawia, że mógłby spaść.

Wzruszony i zalękniony wraca i biegnie do chaty pasterzy, którą widział wśród drogi, ale do której wejść się wówczas obawiał. Teraz trwoga go opuściła, bieży i woła i puka do chaty, z której wnet młody pasterz wychodzi i pyta o przyczynę wołania.

Józef opowiada szybko o wszystkiem a potem obaj wracają do krzyża i nadsłuchują. Chwilę nic nie słychać. Nagle daje się słyszeć głos z przepaści. To niezawodnie jaki pasterz zbłąkał się w ciemności i wpadł do przepaści.

Pasterz chciałby się przekonać, co się z nieszczęśliwym dzieje. Uchwyciwszy się tedy gałęzi drzewa, przechyla się nad głębiną, ale niczego dojrzeć nie może.

Obaj potem w wzruszeniu wielkiem oddalają się od krzyża ku niedalekiej kapliczce. Pasterz chce spróbować środka, jakiego pasterze używają, aby innych pasterzy na pomoc wezwać w przygodzie; chce zadzwonić w dzwonek kapliczki.

Zaledwie echo głos dzwonka po górach rozniosło, już ze wszech stron nadbiegają pasterze i patrzą dokoła, gdzie niebezpieczeństwo. Młody pasterz kiwa na nich, aby się spieszyli, a gdy nadbiegli, prowadzi ich nad przepaść, z której teraz wyraźnie słyszeć można: »Ratunku! Mój Boże! Na pomoc ojcze! Na pomoc matko! Ratunku!

Głos dzwonka doszedł aż do chaty która najwyżej w górach stała, a gdzie rodzice Józefa mieszkali. I oni oboje przybyli.

* * *

Gdy się zbliżyli ku przepaści, spostrzegli między pasterzami chłopca, który zatonął wzrokiem w przepaści i nie słyszał niczego z narad innych pasterzy, rozprawiających nad tem, jakby owemu nieszczęśliwemu udzielić pomocy.

— Józefek! — krzyknęła matka i zaraz pochwyciła go za ramię, aby przeląkłszy się, nie wpadł do głębiny.

— O matko! — zawołał Józef, wybuchając płaczem i tuląc się do jej łona.

Zatrwożony ojciec zaczął go się pytać, zkąd się tu wziął? gdzie siostra? A kto wpadł w przepaść?

Chłopiec taki był wzruszony i przelękniony, że nie umiał prawie mówić. Z tego jednak, co zdołał powiedzieć, dorozumieli się rodzice, że nie wie, gdzie siostra jego się znajduje, ale że jej w domu nie ma. On wybrał się w drogę do rodziców i wśród drogi usłyszał z przepaści wołanie o pomoc.

Okropne przeczucie ogarnęło serca rodziców; ani ojciec, ani matka nie powiadają ani słowa z tego, o co się obawiają, ale oboje myślą o tem samem i cierpią strasznie. Czekają, aż wszelkie przygotowania do ratunku poczynione zostaną; stoją milcząc na uboczu, bladzi i smutni.

Pasterze tymczasem przynieśli grubą, długą belkę i kładą ją ponad przepaścią, a jeden z nich wchodzi na ten sztuczny most, aby się przekonać, co się z nieszczęśliwym dzieje.

Spostrzega jakąś istotę żyjącą w przerażającej głębokości, zawieszoną na skale! Lada moment może się zerwać to, co ją potrzymuje i nieszczęśliwy może runąć w bezdenną przepaść.

Ów pasterz na belce wytęża wzrok i wreszcie poznaje, że to jest dziewczyna.

— Młode dziewczę! — powiada. — Widzę, że jeszcze żyje. Dalej, prędzej, musimy ją uratować. Biegnijcie prędko po drabinę ze sznuru i przywiążcie ją mocno do jakiego silnego drzewa!

Wszyscy biegną, śpieszą, tylko rodzice Józefka stoją, jak martwi, z miejsca ruszyć się nie mogąc.

W ćwierć godziny potem wynosi odważny pasterz, który po drabinie do przepaści się spuścił, dziewczynę przywiązaną do swego pasa i stawia na ziemi.

— Marieta! — zawołali równocześnie rodzice i Józef i rzucają się ku niej, biorą w objęcia, całują i pytają.

Marieta nie straciła przytomności przez cały czas, ale jest bardzo wzruszona, więc cichym głosem opowiada:

— Od dwóch dni czułam się bardzo chorą; siły moje malały, a febra trzęsła całem ciałem. Z obawy, ażebym nie zachorowała tak, iżbym w łóżku leżeć musiała, a Józefek był opuszczony, bez opieki, odważyłam się na bardzo śmiałą wyprawę. Skorzystałam z pięknej, jasnej nocy, aby wybrać się do was, w góry i powiedzieć matce o mojej słabości a zarazem ją prosić, iżby do domu w dolinie przyszła choć na kilka dni. Wiedziałam, że podróż tę w jednej nocy odbyć zdołam; nie chcąc zaś strwożyć Józefka, wyszłam z domu dopiero wtedy, gdy już się spać położył.

Gdym przybyła na to miejsce, zbłądziłam nieco, potoczyłam się i wpadłam w przepaść. Byłabym się z pewnością na miejscu zabiła, gdyby nie różaniec, który w ręku trzymałam; odmawiałam go bowiem, idąc drogą. Spadając straciłam przytomność. Gdym przyszła do siebie, poczułam, że wiszę na różańcu, który mi matka niedawno darowała. Poświęcony ten różaniec nie pękł cudownym prawie sposobem i utrzymał mnie do chwili, aż pomoc nadeszła.

Składajcie wraz zemną dzięki Przeczystej Dziewicy, Najświętszej Pannie Różańcowej, bo Ona wybawiła mnie od śmierci!

* *
*

O dobra Matko! Bądź i nam opiekunką w tysiącznych niebezpieczeństwach tego życia. Nie dozwol, abyśmy śmierć ponieśli w licznych przepaściach, które się trafiają na drodze życia naszego! Prosząc Cię o to, przyrzekamy odmawiać codziennie różaniec św. i nosić go zawsze z sobą jako zadatek Twej potężnej, macierzyńskiej Opieki!

Jak można znaleść szczęście?

Powtórzę tu prawie dosłownie to, co napisał pewien uczony niemiecki. A mówi on tak: »O niczem z pewnością nie pisano i nie mówiono tak wiele w życiu, jak o szczęściu ludzkiem. Jakże często słyszymy wołania ludzi: »Ale ten człowiek dopiero ma szczęście!« — albo: »Temu sprzyja, tego prześladuje, tego ściga szczęście!« A kto osiąga pomyślne skutki w przedsiębiorstwie, w swojem zatrudnieniu, na urzędzie lub w swem prywatnem życiu, to według sądu ogólnego ma jedynie do zawdzięczenia kapryśnemu szczęściu. Ale podobno nikt sobie nie zadał choćby trochy trudu, by do tego dotrzeć, zkąd właściwie pochodzi owo tajemnicze szczęście i czy ono rzeczywiście zawdzięcza byt swój jakiemu zagadkowemu przypadkowi, lub tajemniczej jakiej sile.

A przecież w wielu, ba może nawet we wszystkich przypadkach da się udowodnić, że to okrzyczane szczęście jednostek z łatwością dostaje się im w udziale drogą o wiele naturalniejszą, niż się tego spodziewamy. Po za niem nie ukrywa się nigdy nic niewidzialnego lub nieuchwytnego, lecz owszem da się wyjaśnić w każdym wypadku w całkiem prosty sposób. Pewien filozof angielski powiedział zupełnie trafnie: »Bardzo często ganiono szczęście dla jego ślepoty, ale szczęście wcale nie jest ślepe, lecz ślepymi są tylko sami ludzie, którzy nie chcą rozpoznawać przyczyn, które obdarzonemu szczęściem pomogły właśnie do owego szczęścia.«

Życie praktyczne wskazuje dosyć wyraźnie każdemu, kto tylko patrzeć i widzieć umie, że szczęście dostaje się w udziale najczęściej ludziom skrzętnym, pilnym i niezmordowanym, które ich popędza naprzód, tak samo, jak wiatr i bałwany morskie, tak niebezpieczne dla złych, a znów tak pożyteczne dla dobrych okrętów.

Całą ową wielką tajemnicę szczęścia mógłby właściwie z łatwością odkryć każdy, ktoby z wszelką usilnością starał się o to, by ją wyszukać i znaleźć. Uchwycenie szczęścia i trzymanie go w silnych ryzach, zależy można powiedzieć, po największej części, od dwóch czynników: pilności i wytrwałości, które są o wiele potężniejsze, niż owe wszystkie bajeczne siły, o których gnuśni, leniwi i bezmyślni tak chętnie rozprawiają.

Całe szeregi wybitnych ludzi zawdzięczają swoje znaczenie, swoją świetność, swój rozgłos, w ogóle całe swoje »szczęście« nieomal tylko pilności i wytrwałości. Nie byli oni geniuszami, jak się to zwykle szybko mówi, ażeby upozorować osiągnięte przez nich zdobycze pracy i wzniesienie się ich na te wyżyny, na których stoją, a przytem »szczęśliwie« pokryć płaszczykiem swą własną opieszałość; nie byli oni przeważnie tylko ludźmi ze zdrowym rozumem i niczem więcej, ale byli ludźmi niezmordowanej pilności, ustawicznej dążności i niewzruszonej wytrwałości.

To też rzeczywiście nic nie może być bardziej pouczającem a zarazem pobudzającem, jak właśnie wierne i prawdziwe opisy życia tych »szczęściem obdarzonych« ludzi, albowiem, z nich jasno widnieje, jak oni właściwie dochodzili do zdobyczy swoich.

Angielski minister Disraeli rzekł razu pewnego, gdy go w jakiejś sprawie zapytano o radę:

»Ażeby się coś udało, to w tem jest tajemnica, by w swej sprawie stać się mistrzem. To jednak mistrzostwo zdobyć można tylko za pomocą ustawicznej pilności i nauki.«

I rzeczywiście we wszystkich sprawach jest pilność ową czarodziejską laską, która nawet rzeczy na pozór niemożliwe wyprowadzić zdoła. Jakże np. łatwą wydaje się gra na skrzypcach, a przecież jakże wiele wymaga bezustannych ćwiczeń, ażeby na tym instrumencie — a właściwie także na każdym innym — doprowadzić do doskonałości!

Znakomitego skrzypka włoskiego,

Giardiniego, zapytał raz młody człowiek, ileby właściwie potrzebował czasu, ażeby się nauczył gry na skrzypcach, a Giardini odpowiedział ze spokojem: »Codziennie po dwanaście godzin przez lat dwadzieścia. Rosyjskie przysłowie mówi, że »pilność i niedźwiedzia nauczy tańczyć.«

Sławna baletniczka, Marya Taglioni, mdlała często na ćwiczeniach tańca, które całemi godzinami i każdodziennie odbywała pod kierownictwem swego ojca, padała na ziemię bezprzytomna i dopiero, gdy ją rozebrano, można ją było przywołać do życia. Ta jednak usilność i wytrwałość wyrobiły w niej tanecznicę przez świat podziwianą.

Postęp, który czynimy, jest zawsze tylko mały, ponieważ zdobyte wielkie powodzenie rzadko kiedy od razu zostało osiągnięte. Włosi mają przysłowie: »Kto pomału idzie, idzie długo i daleko.« A jeżeli na Wschodzie mówią: »Czas i pieniądz przemieniają liść morwowy w atłas«, to zapewnie chcą za pomocą tego przysłowia wyrazić w swej obrazowej mowie, że dobry owoc potrzebuje długiego czasu, zanim dojrzeje należycie.

Pięknego przykładu chwalebnej wytrwałości dostarcza nam również znany amerykański ornitolog (badacz ptaków), Audubon (Odibong). Jeżeliby był w swoim czasie nie miał takiej wytrwałości, toby niezawodnie nie był został tak sławnym naturalistą. O swojem »nieszczęściu« opowiada sam w następujący sposób: »Opuściwszy wioskę Henderson, położoną w państwie Kentucky nad brzegami rzeki Ohio, gdzie mieszkałem kilka lat, udałem się za interesami do Filadelfii. Przed odjazdem przeglądnąłem moje rysunki, zebrałem je starannie do drewnianej skrzyni i powierzyłem ją do przechowania pewnemu krewnemu z tem wyraźnem zastrzeżeniem, ażeby się o to starał, iżby żadnego nie doznały uszkodzenia.

Po kilkomiesięcznej niebytności powróciłem do pomienionej wioski i zaraz dowiadywałem się o mojej skrzyni, którą najchętniej mojim skarbem nazywałem. Gdy ją otworzyłem, obaczyłem z największem przerażeniem, że para norwegskich szczurów zniszczyła cały mój skarb doszczętnie. Młoda rodzina szczura wychowała się wśród papierów i ona to zniweczyła, pogryzła i pożarła rysunki przeszło 1000 gatunków ptasich. Dni i noce przepędzałem bezsennie, prawie nieprzytomnie od wzruszenia. Piekąca gorączka owładnęła moją głowę, wszystkie nerwy do tego stopnia, że się obawiałem, iż postradam nawet rozum. Oprzytomniałem wreszcie, wziąłem strzelbę, notatki i ołówek i puściłem się w lasy i pola. Po upływie trzech lat miałem lepsze i wierniejsze rysunki na mojej mapie, niż przedtem.«

Wielkiemu astronomowi Newtonowi (Njuht'nowi) zniszczały raz przez pożałowania godny wypadek nader zmudne rachunki, nad którymi przepędził wiele lat życia. Piesek »Diamant« wywrócił na stole swego pana palącą się świecę i cenne obliczenia szybko poszły z dymem. Ale Newton (Njuht'n) jeszcze raz podjął się wielkiej pracy i doprowadził ją szczęśliwie do końca.

Angielskiemu historykowi Carlyle wydarzyło się także nieszczęście z pierwszym tomem jego sławnego dzieła o »francuskiej rewolucyi,« ale Carlyle za pomocą swojej pilności i usilności w krótkim czasie powetował poniesioną stratę. Gotowego już manuskryptu pierwszego tomu pożyczył swemu przyjacielowi do przeczytania. Pewnego dnia zostawił go ów przyjaciel na stoliku, zkąd przypadkiem spadł na podłogę. Służąca sądząc, że to jest makulatura (papier niepotrzebny), użyła jej na podpałkę w piecu. Po wielu tygodniach później, gdy Carlyle zażądał swego dzieła, dopiero wykryła się cała sprawa. Carlyle nie miał odpisu kosztownego rękopisu, musiał zatem prawie wszystko spisywać na nowo z pamięci. Jak sobie łatwo można wyobrazić, była to praca nieopisanego trudu.

George Steghenson (Żorż Stihwns'n), główny wynalazca lokomotyw, powiedział raz młodemu inżynierowi, gdy go pytał

o radę, nic więcej, tylko: »Czyń pan, co ja czyniłem, i chciej pan wytrwać!«...
Buffon, sławny na cały świat badacz przyrody, był w młodości swojej całkiem miernie uzdolnionym człowiekiem. Uważano, że duch jego rozwija się bardzo powoli, tudzież, że sam jest gnuśnym i nie lubi pracy. A ponieważ był bogatym, nie byłby nigdy został tak znakomitym uczonym, jakim został rzeczywiście, gdyby wcześnie nie był postanowił z całą usilnością oddać się własnemu wykształceniu. Czas uważał za najcenniejsze dobro, dla tego wnet przyszedł do przekonania, że się na prawdę musi odzwyczaić od długiego spania. Łatwiej to jednak było postanowić, niż wykonać. Lecz przecież udało się to przy pomocy służącego.

Buffon przyobiecał swemu służącemu dawać w nagrodę za każdy raz po koronie (4 marki), gdy go przed szóstą godziną rano zdoła wyprowadzić z łóżka. Z początku szło twardo, ale Józef był nieubłagany, to też wkrótce uczony nie potrzebował do budzenia swego służącego. Rozumie się, że Józef musiał nieraz użyć całej miednicy zimnej wody, ażeby swego pana zniewolić do opuszczenia łóżka.



DAWNY TUM W GNIEŹNIE. (Zobacz objaśn. rycin na str. 48.)

Przez 40 lat pracował Buffon każdego dnia z rana od godziny 9 do 2 przy swojem biurku, a wieczorem znowu od godziny 5 do 9. Jego nieznużona pilność stała się dla niego przyzwyczajeniem. Jedno z swoich wielkich dzieł: »Epoki natury«*) pisał jedenaście razy, aż był z niego zadowolony, chociaż poprzednio przez pięćdziesiąt lat nad niem się zastanawiał. Buffon często powtarzał, że swemu służącemu, Józefowi, zawdzięcza napisanie 3 do 4 tomów swej historyi naturalnej, ponieważ tyle zyskał na czasie, wstając wcześnie z rana.

Wymownego przykładu pilności i wytrwałości dostarcza tak niegdyś tak ceniony romansista (pisarz romansów) Sir Walter Scott, który przez długie

*) W języku polskim wyszły przez ks. Staszica w Krakowie, 1803 roku.

lata utrzymywał się bardzo biednie, będąc licho opłacanym odpisywaczem u adwokata. Niezrównanej usilności w pracy, za pomocą której później jako poeta i pisarz do ogromnego doszedł bogactwa, nabył jedynie tylko w biurze adwokackiem. Wstawał o godzinie 5 zrana i sam rozniecał ogień w piecu. Około godziny 6 zasiadał już zupełnie ubrany do stolika, który był otoczony rozmaitemi księgami, na podłodze porozkładanemi. O godzinie 10, gdy rodzina jego schodziła się na kawę, miał już znaczniejszą część swej dziennej pracy ukończoną.

Wielkie zajęcie budzi również życie angielskiego pisarza, Johna Brittona, który z piwniczego w handlu winnym wykierował się na bardzo poczesnego literata, a to nie innym sposobem, tylko za pomocą niezmiernej pilności i bezustannej wytrwałości. Od godziny 7-mej zrana do godziny 11-tej w nocy był ustawicznie zajęty w piwnicy, a potem dopiero zasiadał w swojej izdebce do czytania i czytał tak długo, aż już dniało. Nigdy nie chodził do szkoły, to też nie nauczył się pisać. Tej sztuki nauczył się sam z własnej pilności w wolnym czasie nocnym, poczem wstąpił jako pisarz do adwokata, czytał ciągle i ciągle i mając 28 lat wieku, napisał pierwszą książkę swojego układu. Przez 55 lat pracował później jako pisarz i wydawca bardzo pilnie, a 87 tomów stanowi owoc tej pilności...

To są tylko małe obrazki z życia niektórych ludzi, a każdy z nich wskazuje jasno i wyraźnie, że niekiedy i miernie uzdolnieni ludzie — a to prawie na wszystkich polach ludzkiej działalności — wielkich, jeżeli nie nadzwyczajnych dokazać mogą rzeczy, gdy mają stałą i niezachwianą dążność, ażeby do czegoś doszli. W tych obrazkach widzimy jasno, że pilność i stałość, usilność i wytrwałość mogą dokonać rzeczy prawie niemożliwych, tudzież, że one są jedynem »szczęściem«, które osiągniemy, jeżeli go tylko szczerze i usilnie pragnąć będziemy.

Nie ma bogini, któraby z rogu obfitości niezasłużenie sypała dary swoje na nasze głowy, to też francuski poeta ma zupełną słuszność, gdy równie pięknie jak i prawdziwie śpiewa: »Bogatym jest pilny, ponieważ on opanowuje czas. Gdyby się rozprysł jak szkło na szczelinki, on byłby zdolny zebrać każdą.«

I między Polakami mamy dosyć przykładów, iż niektórzy mężowie wzbili się wysoko za pomocą pracy i wytrwałości i dobili się znacznej fortuny. W ogólności jednak po wielkiej części brakuje nam cnót pomienionych, dla tego pomimo wielkich zasobów umysłowych i moralnych nie możemy stanąć na równi z innymi narodami, u których owe cnoty tak się zakorzeniły i ciągle się rozpowszechniają. Z tego powodu, pomijając stronę materyalną, tudzież piękną cnotę oszczędności, której nam również tak bardzo niedostaje — mało mamy szczęścia, to też na nie ciągle narzekamy. Abyśmy je zdobyć mogli —

Niech góruje praca, pilność i wytrwałość,
Bo gdzie one — pewnie ztamtąd znika żałość!

Józef Chmielewski.

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Gdy Fergusson już tyle gazu do balonów wpuścił, ile było potrzeba, kazał przymocować łódkę, która była okrągła, a w łódce umieścił wszystkie potrzebne aparaty, instrumenta, broń, kule, wodę, żywność, dery i nadto jeszcze 200 funtów piasku w 50 woreczkach. Ten balast brał tylko na przypadek; gdyby aparat jego miał się kiedy okazać niedostatecznym, natenczas mógł, wyrzuciwszy ów piasek, balon w górę podnieść.

Te wszystkie przygotowania trwały do godziny 5-tej po południu. I tu mieszkańcy okoliczni nie dali podróżnikom spokoju tak, że trzeba było obstawić wysepkę strażami. Nie mogąc dostać się na wysepkę, gromadzili się na wyspie Zanzybarze i innych pobliskich wysepkach i tam wyprawiali rozmaite tańce. Podróżnikom tłómaczono, że odprawiają modły do swych bożków. Między tłumami uwijali się kapłani pogańscy, a mianowicie ci, którzy myślą, że są najlepiej zapisani u bożka deszczu i gradu. Wznosili oni ręce w górę, mówiąc przy tem rozmaite zaklęcia, aby bogowie straszny deszcz i grad spuścili na ziemię a tym sposobem przeszkodzili bezbożnemu zamiarowi obcych. Ale niebo pozostało pogodnem i żadna chmurka na niem się nie pokazała.

O godzinie 6-tej wieczorem, gdy już balon był zupełnie do jazdy gotów, postawiono przy nim podwójne straże, a potem zeszli się oficerowie z podróżnikami i konsulem na okręcie, aby ostatnie godziny spędzić razem. Nie byli weseli, choć Fergusson, wbrew swemu zwyczajowi, żarty opowiadał, aby przyjaciół rozweselić. Wszystkich ogarnęły smutne myśli. Kto wie, czy się wyprawa uda? Kto wie, czy podróżnicy nie zginą prędzej lub później? Może już za kilkadziesiąt godzin śmierć ich spotka? Kiedy wrócą? Czy nie dostaną się do niewoli dzikich ludzi?

Te i tym podobne myśli zajmowały wszystkich, prócz Fergussona i Józefa. Wnet się też wszyscy rozeszli na spoczynek. O godzinie 6. rano opuścili podróżnicy okręt; wszyscy oficerowie i prawie cała załoga towarzyszyła im do balonu, który się lekko kołysał w powietrzu. Józef wszedł pierwszy do łódki. Nastała cisza uroczysta. Fergusson żegnał się z wszystkimi.

W tej chwili przystąpił pan Ryszard do niego i rzekł głośno:

— Więc odjeżdżasz, przyjacielu?

— Tak jest, kochany Ryszardzie.

— Czyż nie dołożyłem wszelkich możliwych starań, aby cię od tej podróży odwieść?

— Potwierdzam, żeś to uczynił.

— Natenczas sumienie moje co do tego jest spokojne. Jadę z tobą!

— Ja wiedziałem, że to uczynisz! — odrzekł Fergusson i ścisnął mu serdecznie dłoń.

Żegnano się bez końca. Józef musiał jeszcze raz wysieść z łódki, bo oficerowie chcieli się i z nim pożegnać. Nareszcie około godziny dziewiątej weszli trzej podróżni do łódki a Fergusson przystąpił do aparatu, i zanieciwszy płomyk, zaczął podsycać gaz w balonach. W ciągu kilka minut balon począł się podnosić. Dwudziestu majtków trzymało go na sznurach. Na znak dany przez Fergussona, popuścili nieco sznurów tak, że łódka podniósła się o 20 stóp nad ziemię. Wtedy Fergusson zdjął kapelusz i tak się do stojących na ziemi odezwał:

— Moi przyjaciele! Dajmy naszemu balonowi nazwisko, które mu szczęście przyniesie; nazwijmy go tem mianem, które nosi nasza królowa angielska: »Wiktorya!«

Okrzyk wzniósł się na te słowa w górę:

— Niech żyje królowa! Niech żyje Anglia!

— Puszczajcie! — krzyknął Fergusson na majtków.

Gdy to uczynili, balon wzniósł się szybko w powietrze, a w tej chwili huknęły cztery strzały armatnie z okrętu na pożegnanie!

II.

Powietrze było czyste a wiatr łagodny; balon wznosił się bardzo szybko i lekko i wnet stanął na 1500 stóp nad ziemią. W tej wysokości wiał wiatr południowo-zachodni, który też balon ze sobą porwał.

Pan Ryszard i Józef siedzieli z początku spokojnie; czuli się jakoś nijako. Ale Józef wnet nabrał otuchy i widząc, że wszystko dobrze idzie, zawołał:

— Ach! jakaż to piękna jazda! Ach! Och! Fiu! fiu! A bodajcię!

Na to ani Fergusson, ani Ryszard nic nie odpowiedzieli, bo jeden zajęty był aparatem gazowym, drugi zaś jeszcze się z położeniem nie oswoił.

Józef skracał sobie tedy czas spoglądaniem w dół, na ziemię.

Jakże małemi przedstawiały się jego oczom wsi, rzeki, jeziora; drzewa i ludzie wyglądali jak robaczki. To wszystko bardzo go zajmowało; w milczeniu tedy patrzał, a balon leciał, jak ptak.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Na Groblach. Każdy, kto przybędzie do Krakowa, musi przyznać, że to miasto starożytne dostarcza mu mnóstwa ciekawych rzeczy do widzenia. Każde tu miejsce jest zajmujące i może się nadać malarzowi do wykonania pięknego obrazu, czego dowodem malowniczy widok, który w niniejszym zeszycie zamieszczamy.

Przedstawia tak zwany plac »Na Groblach.« Leży on na lewym brzegu Wisły w tej stronie, gdzie królowa rzek naszych w wielkim zakręcie toczy się pod górę Wawel, na której wznosi się majestatycznie królewski zamek i kościół katedralny z przyległemi do niego budowlami. Plac ten tworzy duży prostokąt. Od strony północnej ogranicza go droga, a za nią mury, po za którymi odsłaniają się podwórza i domy, przytykające do ulicy Zwierzynieckiej; od strony wschodniej jest otwarty i dochodzi do ulicy Straszewskiego, za którą ciągną się plantacye po pod zamek; od strony południowej znajduje się szereg ogrodów i domów, stojących wzdłuż drogi na »Groblach« i ulicy Podzamcze, a od strony zachodniej jest znowu otwarty i łączy się z drogą, zwaną ulicą »Nad Wisłą,« gdyż w pobliskiem oddaleniu rzeczywiście płynie wspaniała ta rzeka.

Na placu tym widać obecnie wiele poręczy i palów, wbitych w ziemię, między którymi porobiono niby uliczki, albowiem jestto targowica końska. Przed kilkudziesięcioma laty nazywano jeszcze to miejsce »portem.« Wypełniał je dopływ wiślanej wody.

Od strony Wisły, gdzie dzisiaj snuje się droga pomienionej nazwy, na dwóch przeciwległych brzegach stał most drewniany o jednem przęśle, po pod którym przepływały galary i zatrzymywały się w porcie, otoczonym rosłymi kasztanami, topolami nadwiślańskimi, wikliną.

Po pamiętnym pożarze Krakowa w 1850 roku zaczęto port ów zasypywać powoli, a później zasypano go całkowicie i przeznaczono wyrównane miejsce na targowicę koni, trwającą do dnia dzisiejszego. Targi odbywają się tutaj co wtorek, a jarmarki dwa razy do roku po jednym dniu w czasie walnych jarmarków na konie, odbywających się na innem miejscu, około św. Józefa i św. Michała. Oprócz tego co wtorek i piątek bywa na »Groblach« targ na drzewo i deski.

W dawnych czasach na tem miejscu, jak się zdaje, był wielki staw; od strony północnej rozciągały się ogrody królewskie na zwierzyniec przeznaczone, a od strony południowej, tuż pod zamkiem, rozlewały się stawy. Między nimi a późniejszym portem była wielka grobla, na której stały domki dla służby, pilnującej ryb i stawów. Od tej grobli pochodzi nazwa dzisiejszego placu.

Piękny ztąd widok na zamek i Wisłę, po nad którą w niewielkiej odległości przeprowadzono dwa żelazne mosty obok siebie (jeden do zwykłego użytku, drugi kolejowy) ku Dębnikom, wiosce już w Galicyi położonej. A dalej na zachód widnieje śliczny kopiec Kościuszki, zawsze rzewnie przemawiający do duszy każdego ziomka. W końcu dodać wypada, że na stoku placu »Na Groblach« w miesiącu czerwcu każdego roku puszczają na Wisłę wianki, o czem pomówimy innym razem przy sposobności. *J. Chmielewski.*

Dawny tum w Gnieźnie. Z okazyi konsekracyi Najprz. ks. arcybiskupa Stablewskiego przypomniało się wszystkim stare Gniezno i jego katedra. Warto tedy podać o niej nieco wiadomości. Na miejscu pogańskiej świątyni wzniósł tu Mieszek I. sławny kościół katedralny, w którym spoczywają zwłoki św. Wojciecha, Dąbrówki, żony Mieszka i Judyty, żony jego syna. W roku 1000 przyjmował tu Bolesław Chrobry niemieckiego cesarza Otona, który katedrę gnieźnieńską uczynił metropolią całego państwa Chrobrego, obejmującą dyecezye krakowską, wrocławską i pomorską. Wielkie bogactwa katedry niejednokrotnie nęciły nieprzyjaciół Polski i tak w r. 1038 zrabował ją Brzetysław, książę czeski; w r. 1331 zrabowali miasto Krzyżacy. W roku 1613 wielki pożar zniszczył całe miasto. W r. 1760 znowu wybuchł pożar, który też zniszczył starożytną katedrę. Obrazek w dzisiejszym numerze pokazuje, jak ona dawniej wyglądała. Dzisiejsza katedra wspanialsza od dawniejszej przedstawia architekturę (sposób budowania) rozmaitych epok (czasów). Mieści w sobie różne starożytne zabytki n. p. drzwi spiżowe, okazałej bizanckiej roboty i nader pięknej rzeźby, wyobrażającej zdarzenia z życia św. Wojciecha.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Kotlety ze śledzia.** Kilka wymoczonych śledzi pokrajać, oparzyć, oczyścić z kostek i drobno usiekać. Włożyć podsmażonej w maśle cebuli, wymięszać to mocno a skoro przestygnie, wsypać trochę twardej bułki, wbić parę jaj, łyżkę śmietany, wymięszać na masę i robić kotlety. Umaczać w sucharku i jajku i smażyć na maśle.

Sos robi się do nich rumiany kwaskowo-słodkawy z cytryną lub kaparami albo grzybowy.

— **Zrazy.** Zrazowe mięso wyżyłować, usiekać, wbić 3 jaja, wymięszać i rozpostrzeć okrągło na stolnicy na grubość małego palca. Ugotować grzybów suszonych, drobno usiekać, dołożyć kawałek ugotowanej i usiekanej słoniny świeżej, cebuli podsmażonej w maśle, trochę tartej bułki, posolić w miarę, popieprzyć, i dobrze to wszystko wymięszać. Nałożyć tym farszem mięso, zwinąć je w trąbkę, a podłożywszy masła tuszyć w rądlu.

— **Sposób odświeżania masła.** Jeżeli masło zgorzkło, można je na prędce odświeżyć w następujący sposób: Wziąść cokolwiek tłuczonej saletry, wymięszać z nią masło dobrze i pozostawić tak do drugiego dnia, a będzie znacznie lepsze.

— **Frytura czyli tłuszcz wołowy.** Tłuszcz ten bardzo jest dobry do wszelkiego smażenia, w co wchodzi mąka i jaja. Każde ciasto lepiej się smaży na fryturze jak na maśle; na smalcu zaś nigdy nic smarzyć nie należy, bo jest niestrawny. Do kotletów szczególniej siekanych można także używać frytury, lecz do połowy z klarowanem masłem; befsztyku zaś nie można na niej smażyć.

Frytura przygotowuje się w następujący sposób. Wziąść np. 2 funty łoju wołowego nerkowego, pokrajać drobniutko, włożyć w garnek i nalać tylko tyle wody, aby łój pokryła; postawić na wolnym ogniu i gotować tak długo aż się woda nie wygotuje, czego dowodem syczenie tłuszczu. Tak wygotowany włożyć w sitko i dobrze wycisnąć. Przy użyciu kładzie się dużo na patelnią, aby przedmiot przeznaczony do pieczenia pływał po niej jak pączek. Tłuszcz powinien być bardzo rozpalony do smażenia, inaczej smaży się długo i nasiąka tłustością.

— **Talkum proszek do wywabiania plam z jasnych materyi.** Wziąść materyą splamioną i podłożyć pod miejsce splamione waty czystej, z wierzchu posypać plamę grubo tym proszkiem i tak na kilka godzin pozostawić.

— **Jak przywrócić białość zżółkłej bieliźnie.** Zmięszać jednę część olejku terpetynowego lub benzyny, z trzema częściami spirytusu i wlać jedną łyżkę tej mięszaniny do wiadra wody. W wodzie tej należy wypłukać świeżo wypraną bieliznę i rozwiesić a nabierze białości i nie poniesie szkody.

— **Zamrożone szyby odmrozić.** Rozpuścić soli w wodzie i umaczaną w tej wodzie gąbką, obmywać szyby, a lód natychmiast stopnieje.

— **Czyszczenie tapet.** Na flanelową łatkę nabierać mąki owsiannej i na sucho tapety wycierać.

Z ogrodownictwa.

Ogród kwiatowy czyli ozdobny.

(Ciąg dalszy.)

Chcąc mieć kwiaty wcześnie na wiosnę, należy już na pojedyńczych grządkach w jesieni zasiać niebieskie lub białe niezapominajki alpejskie, z różnemi odmianami bratków.

Najpierwsze jednak miejsce, w każdym, choćby najmniejszym ogrodzie, bezsprzecznie należy królowej kwiatów, róży. Krzakami jej obsadzają się albo dróżki, albo też pojedyńcze miejsca na rabatach. Chcąc utworzyć piękny klomb z róż, najwyższe krzaki zasadzają się w środku, a ku brzegom coraz niższe. Dzisiaj szczególnie sadzą róże uszlachetnione, wyhodowane z sadzonek, które nie łatwo wymarzają i przycięte, wypuszczają nowe latorośle z korzenia. Róży stulistnej z jej odmianami: R. cristata, unica, alba i muscosa (zwyczajna róża mchowa) należy się miejsce w każdym kwiatowym ogrodzie.



PRZED SĄDEM.

Sędzia (do oskarzonego): Dziesięć lat trzymaliście się w porządku a teraz znowu was na kradzieży złapali.

Oskarzony: Ha, zestarzałem się, nogi osłabły, więc już nie mogę tak zmykać, jak dawniej.

Róże pienne czyli sztamowe otrzymuje się przez oczkowanie (okulizowanie na pieńkach zwyczajnego głogu).

Kwitnące powtórnie róże tak zwane »remontantes« kupić można niedrogo, w zakładach ogrodowych. Róże, których potrzebują panie i cukiernicy do smażenia, mogą również być sadzane.

Wspomnieć także należy pięknie pachnące lewkonie letnie, astry, balsaminy, floksy najrozmaitszych barw, jako to: płomieniste, białe, różowe, liliowe itd.; potem petunie, portulaki, gwoździki chińskie, które stósownie dobrane, kwitną przez całe lato. Ostatnie z wyżej wspomnianych roślin odznaczają się tem jeszcze, że rozwinięte, po obcięciu i powiązaniu w małe pęczki, zasuszone w ciemnem miejscu, dają się przechować przez zimę i mogą być użyte do wieńców i bukieków jako nieśmiertelniki.

Teraz następuje długi szereg rozmaitego kwiecia: Werbeny, fuksye, heliotropy, lantany, pojedyncze i pełne pelargonie (geranie). Georginy czyli dahlie z powodu wielkiej rozmaitości barw i kształtów kwiatu, któremi bawią oko do poźnej jesieni, liczą też wielu zwolenników, zwłaszcza drobnokwiatowe odmiany.

Mnóstwo jest odmian georgin w rozmaitych odcieniach barwy białej, czerwonej i żółtej; lecz wszystkie usiłowania w celu wytworzenia odmian o barwach niebieskich nie zostały uwieńczone powodzeniem.

Z roślin trwałych zalecają się na kwietniki jeszcze następne: lilia biała, rozmaite odmiany floksu, ostróżki, piwonie, gwoździki ogrodowe, akwilegie, malwy i bardzo wiele innych.

Chcąc mieć ogród ukwiecony wcześnie z wiosną, trzeba grządki i klomby zajęte podczas lata przez różne liściaste rośliny zasadzić w jesieni cebulkami hyacyntów, tulipanów, narcyzów itp. Kwiaty ukażą się skoro się powietrze ociepli na wiosnę i napełnią powietrze rozkoszną wonią. Wtedy także zaczynają kwitnąć tak powszechnie ulubione bratki, dla pięknych swych aksamitnych kwiatów; po nich zakwita niezapominajka alpejska. Nasiona bratków oraz na ostatku wspomnianych roślin zasiewają się już w Lipcu poprzedzającego lata w doniczkach, a roślinki po wzejściu przesadzają się na dobrze uprawne zapasowe grządki, z których wreszcie w jesieni przenoszą się na przeznaczone dla nich miejsce.

Najwłaściwszym czasem do sadzenia roślin kwiatowych jest miesiąc Maj i początek czerwca. W największej liczbie przypadków nie należy zbytecznie się spieszyć, lecz cierpliwie czekać, zanim pora późnych wiosennych przymrozków przeminie. Skoro już ciepło się ustali, wtedy i wegetacya kwiatów postępuje bez przerwy. Wysiew nasion służących do obramowania rabatów następuje w początkach Kwietnia.

Przesadzanie krzewów najpomyślniej się odbywa w okresie spoczynku wegetacyi. Krzewy jednoroczne dają się przesadzać na krótko przed kwitnieniem, albo nawet podczas samego kwitnienia, jeżeli się przytem postępuje z należytą ostrożnością. Rośliny cebulkowe, jak hyacynty, narcyzy, tulipany najlepiej przesadzać w jesieni, poczynając od września.



TŁUSTY.

Pan: Dorożkarzu, wasz koń biegłby szybciej, gdybyście go lepiej paśli.

Dorożkarz: Albo też, gdyby pan się był mniej pasł.

Rozmaitości.

* **Eskimosi.** Pewien niemiecki podróżnik, zwiedziwszy obecnie Grenlandyę, podaje następujące szczegóły o Eskimosach. W każdym namiocie, powiada, mieszka po kilka rodzin, z których znów każda ma palem odgrodzoną siedzibę na tapczanie, gdzie siedzą skuleni małżonkowie z dziećmi. Przed każdą taką siedzibą pali się szerokim płomieniem lampa tranowa dzień i noc, a daje ona nietylko światło, ale i ciepło i dostarcza upragnionego zapachu tranu. Mężowie żyją zazwyczaj w wielkiej zgodzie z żonami, i często widzieć można, jak małżeństwo pociera sobie wzajemnie nosy z wielką czułością, co zastępuje miejsce pocałunku. Gdy jednak zdarzą się kłótnie, bywają bardzo gwałtowne i kończą się zwykle obiciem, lub zadaniem ciosu nożem w rękę czy w nogę, — poczem stósunek jest równie serdeczny jak poprzednio. Czystością nie odznaczają się Eskimosi; z natury mają cerę twarzy żółtawą lub brunatną, ale jaki procent barwy tej kłaść na karb brudu trudno odgadnąć. U dzieci zwłaszcza, brud tworzy na ciele grubą skorupę, która miejscami sama odpada. Kobiety, zwłaszcza młode myją się znacznie częściej. Najulubieńszem zajęciem Eskimosów w chwilach wolnych od pracy, jest drapanie się w głowę, obrośniętą bujnym a szerokim czarnym włosem. Mężczyźni wyczesują włosy z czoła i przytrzymują je sznurami pereł, obcinają je zaś szczękami wielorybów, zetknięcie się bowiem żelaza z włosami jest, według ich pojęć niemożliwe. Kobiety związują wszystkie włosy w sztywny węzeł na tyle głowy i obwiązują go kawałkiem skóry zwierzęcej z siercią; uczesanie to przeznaczone jest głównie dla młodych panien. Wyczesują one zaś włosy tak mocno z czoła, że te wypadają, i Eskimoski skutkiem tego bardzo wcześnie ły-

sieją. Dla Eskimoski z dobrego towarzystwa, wyczesywanie włosów jest równie niezbędne, jak dla europejskiej damy sznurówka. Młode Eskimoski potrafią zjeść nawpół surową mewę, nieoskubaną z pierza.

* **Zmyślność psa.** Wiele mieliśmy przykładów zmyślności psów; wiemy bowiem, że psy rzucają się do wody, jeżeli widzą człowieka tonącego i ratują go. Na górze św. Bernarda wyszukują i odgrzebują z pod śniegu podróżnych, którzy zbłądzili przy przejściu tej góry, pokrytej wiecznie śniegiem. W ogóle bardzo dużo wypadków moglibyśmy opowiedzieć o sprycie tych mądrych zwierząt. Nie słyszeliśmy jednak do tego czasu o tem, żeby pies zdolny był zatrzymać rozbieganego konia, a jednak zdarzyło się to właśnie w Paryżu. W dzień kiedy największy ruch panuje na ulicach tego ogromnego miasta, koń, zaprzężony do powozu, rozbiegał się i pędził galopem przez ulicę, grożąc roztratowaniem wielu przechodniom. W tej chwili wielki kasztanowaty pies rzucił się na niego i schwycił całą siłą lejce, ale koń silnem szarpnięciem zrzucił go na bruk. Pies jednak nie dał za wygraną i po raz drugi skoczył na konia, lecz i tym razem z tem samem niepowodzeniem. Mądre stworzenie rzuca się po raz trzeci, chwyta go za pysk i zmusza go tym sposobem do zatrzymania się. Jak się potem okazało, pies ten należy do pewnego kupca paryskiego i nieraz już tak zatrzymywał rozbiegane konie.

* **Nowy król cygański.** Cyganie na Węgrzech mają ten zwyczaj, że obierają z pomiędzy siebie jednego, któryby niemi rządził i tego wybranego przewódcę nazywają »królem.« Niedawno obrali sobie takim królem niejakiego Jerzego Kolompara. Nowy król cygański doniósł o tem arcyksięciu Józefowi, który zajmuje się z zamiłowaniem cyganami, i przytem dodał, że nie ma za co sprawić sobie munduru królewskiego. Arcyksiążę Józef wyraził Jerzemu swoje zadowolenie, że go wybrano na króla i przysłał mu na umundurowanie królewskie 200 złr.

* **Chłop skąpiec.** W Szeghalom na Węgrzech zmarł tymi dniami prosty chłop, Aleksander Borzas, nazwany przez sąsiadów chłopskim hrabią. Odziedziczył po ojcu 24 morgów ziemi a pozostawił 7 dzieciom swoim 800, oprócz gotówki, wynoszącej 400,000 złr., licznych stad, domów i winnic. Przez cały ciąg swego życia nie jadł on nic więcej prócz soczewicy i mięsa z padłych owiec. Jeżeli kiedy zimą zabił wieprza, to tylko dla tego, aby ludziom posłać zakontraktowaną ilość słoniny. Posiadał tyle pieniędzy, że nie wiedział, co z niemi robić. Ażeby nawet jego najbliższa rodzina nie wiedziała, ile pieniędzy posiadał, schował on zesziego roku w stodole między zboże 10,000 złr., a gdy po pewnym czasie, potrzebując pieniędzy, poszedł po nie, okazało się, że papiery były zupełnie spleśniałe i pożarte przez myszy. Przed kilku laty kupił od hrabiego d'Orsay większy obszar dóbr, a pieniądze za nie kazał zawieść na pocztę na taczkach w srebrze. Dzieciom żadnego wychowania nie dał, musiały pospołu z parobkami pracować w gospodarstwie.

ŻARTY.

W sądzie.

Sędzia: Moglibyście się nareszcie opamiętać; już po raz dziesiąty sądzę was tutaj za kradzież.

Oskarżony (żałośnie): Cóż ja temu winien, że pan sędzia tak długo jest na urzędzie!

Nie jest prorokiem.

A.: Jużeś mi razem 200 m. winien; kiedy mi je zapłacisz?

B.: A czy to ja prorok, żebym takie rzeczy wiedział?

Gdy zapłacił, to też ma prawo.

Pewien chłop kupił bilet jazdy koleją, ale spóźnił się na pociąg. Postanowił tedy iść pieszo po tamie kolejowej, przy szynach. Ledwie uszedł kawałek, gdy go stróż kolejowy spostrzegł i zawołał:

— Hej, hej, złaście jeno coprędzej z tamy; tam nie wolno iść!

— Co? — zawołał chłop — nie ma mi być wolno iść, kiedy ja mógłem tą drogą jechać, bom bilet kupił, a tylkom się zapóźnił? Toby mi się podobało!

Podług godności.

Do pewnej redakcyi przyszedł raz pewien tajny radzca rejencyjny. Ponieważ redaktor był bardzo zajęty, więc nie obejrzawszy się nawet, zawołał:

— Proszę wziąć krzesło i usiąść.

Radzca obraził się, że redaktor tak krótko go zbył i chcąc mu o swojej godności przypomnieć, zawołał:

— Jestem tajnym radzcą, panie redaktorze!

Redaktor, nie oglądając się odpowiedział:

— W takim razie weź pan dwa krzesła i usiądź pan na nich!

Szczyt naiwności.

— Ach Manusiu, jakże to szybko lecą te depesze telegraficzne, ot patrz, otrzymuję depeszę z Chicago, a pieczątka gumowa jeszcze wilgotna!

W drogeryi.

Dziewczynka: Proszę za 10 fen. tranu, ale nie za wiele.

Kupiec: Dla czego nie za wiele?

Dziewczynka: Bo ja sama go wypić muszę!

To zależy.

A.: Powiedz mi, o którą córkę bankiera K. się starasz; o starszą, czy młodszą?

B.: To zależy od humoru ojca; jeżeli będzie wesoły, to będę prosił o rękę młodszej córki; jeżeli będzie zły, to o rękę starszej!

W oberzy.

Gość (który znalazł kilka włosów w rosole): Kelner, przynieś mi grzebień, abym mógł włosy z rosołu wyczesać!

Pociecha.

Rzeźnik A.: Z kupnem bydła coraz trudniej; chłopi nie chcą sprzedawać. Zkąd my ostatecznie dostaniemy wołów na rzeź?

Rzeźnik B. (z dumnym uśmiechem): Nie bój się bracie; dopóki my obaj żyjemy, to wołów nie zabraknie!

Litościwy żebrak.

Pan (do żebraka): Nie dam ani szeląga. Ja sam jestem biedny i pójdę niedługo żebrać.

Żebrak: W takim razie niech pan tedy owedy też do moich drzwi zapuka, ja pana wspomogę.

Odpowiedź Redakcyi.

P. w S. Dziękujemy za adresy „Boh. wrób" w przyszłym numerze.

W. B. S. w N. Dziękujemy. Umieścimy.

ZAGADKI.

1)

```
          4
    0 0 0 0 0
    0 0 0 0 0
1  0 0 0 0 0 0   2
   0 0 0 0 0 0
   0 0 0 0 0 0
   0 0 0 0 0 0
          3
```

Z tych 6 rzędów wykreślić 6 zer w ten sposób, ażeby w każdym ostatnim rzędzie czworoboku (oznaczonych liczbami 1, 2, 3, 4) były tylko 4 zera.

2) 45 od 45 tak odciągnąć, aby 45 pozostało.

REBUS.



Rozwiązanie zagadki z nr. 2:
MŁOTEK.

Rozwiązanie rebusu:
Wyszły szydła z miecha.

Rozwiązanie rebusu i zagadki nadesłali pp.: M. Cichowski z Sumina. P. Śmiłowski z Laurahuty. Józef Rückert z Olesna.

Rozwiązanie zagadki nadesłali pp.: Jan Hetschko z Miechowic. B. Abrahamczyk z Roździenia.

Rozwiązanie rebusu nadesłali pp.: Karol Janke z Piekar. Z. Biskupski.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.